



KRYMINALEK
HISTORYCZNO-
FANTASTYCZNY

GRAŻYNA
BAKIEWICZ

**ADA
STRAŻNICZKA
SKARBU**

ilustracje Karina Kołodziej



LITERATURA



Kolacja! Sprzątnijcie ze stołu, bo idę z jajecznicą! – zawołała mama w ostatni spokojny wieczór mojego życia.

– Zaraz! Jeszcze trochę! Za chwilę! – wołaliśmy jedno przez drugie, bo usunięcie tego, czym się zajmowaliśmy, było niewykonalne.

Nasz kuchenny stół jest wielki jak lotnisko. Gdy usadowimy się wokół niego, jesteśmy oddaleni od siebie o całe lata świetlne. Nie przeszkadzając sobie nawzajem, możemy zajmować się tym, co zaprzęta nasze myśli. Ja uczyłam się historii na klasówkę, Staś układał puzzle, po stronie mamy leżały kartki z planami jutrzejszej imprezy na zamku, a przed Radkiem piętrzyły się stosiki kolorowych kamyków. Przytulnie tak siedzieć wieczorami, mieć wszystkich na oku, a jednocześnie nie zawracać sobie nikim głowy.

Radek pierwszy oderwał się od pracy.

– Dzieciaki, robimy miejsce – zarządził i odsunął kamiki na środek stołu.

Wzięliśmy z niego przykład i w ślad za jego skarba mi powędrowały notatki mamy, mój podręcznik i puzzle

Stasia. Nie byłam pewna, czy mamie o to chodziło, ale w końcu Radek jest dorosły i wie, co robi.

Radek to facet mamy. Poznali się kilka lat temu. Przyciągnęła ich do siebie pasja, jaką oboje żywią do historii. O ich zakochaniu wiedziałam wcześniej od nich. Podglądałam ich twarze, gdy myśleli, że nikt nie patrzy. Nadal lubię to robić. Z rozczuleniem rejestruję uśmiechy i drobne gesty, jakimi się nawzajem obdarowują. Od trzech lat mieszkamy razem. Traktuję Radka jak tatę i już nie pamiętam, jak to było bez niego.

– Stół już wolny? – spytała mama. – Bo idę z talerzami.

– Tak! Oczywiście! – zawołaliśmy. – Jesteśmy gotowi.

Miejsca było dość na kolację nawet dla dziesięciu osób, ale jeśli ma dojść do katastrofy, to i tak dojdzie i ilość miejsca nie ma najmniejszego znaczenia. Staś, sięgając po chleb, władował rękaw w talerz i rozsmarował jajka po notatkach mamy i mojej książce.

– Uważaj, co robisz! – wrzasnęłam.

– Nie chciałem, to samo się tak zrobiło.

– Akurat!

Sekundę wcześniej widziałam, jak jego ręka w drodze do koszyczka z chlebem manewrowała zygzakami, by niby przypadkiem zahaczyć o kamyki Radka.

Ratowałam, co mogłam, ale nie wszystko dało się ocalić. Część notatek mamy nadawała się tylko na śmieci.

– Nic się nie stało – łagodziła. – Spróbuję to później odczytać.



Po kolacji wszyscy pomagaliśmy odszyfrować tekst z zatłuszczonej kartki. Były to fragmenty legendy, którą mama gdzieś usłyszała i zapisała skrótami na żółtym kartelusku.

– Istnieją trzy wejścia do podziemi, jedno wprost z zamku, a dwa z różnych punktów wzgórza. Zaraz, co tu jest dalej? Dziewiąty wojownik wskazuje wejście. To tam, gdzie... co? Śpiewająca ściana? I jeszcze... słońce zachodzące między wieżami... czy coś takiego.



– To jakieś bzdury – machnęłam ręką i zostawiłam mamę z jej zagadkami.

Nie miałam czasu na zabawę. Jutro klasówka z historii. W zamkach, o których się uczyłam, nie było mowy o żadnych podziemiach, tylko o wojnach, na które wyprawiali się rycerze, i o chłopach pańszczyźnianych, którzy za to płacili.

– O naszym zamku nie ma w podręczniku ani słowa – poskarżyłam się.

Mama zerknęła znad swoich nieczytelnych notatek i roześmiała się:

– Poczekaj. Ten zamek jeszcze cię zadziwi.

W pewnym sensie jej przewidywania już się sprawdziły. Zaczęło się jakieś pół roku temu, gdy w zamkowych lochach posypał się tynk. Pewnie nikt by tego nie zauważył, gdyby nie mama. Gnana wtedy jakimś niepokojem, zeszła do lochu i gdy poświeciła latarką, zobaczyła czyjąś rękę. By sprawdzić, do kogo należy, zdrapała paznokciem skruszałą zaprawę z muru i fragment po fragmencie odkryła całą postać ułożoną z drobnych kolorowych kamyków. Okazało się, że pod warstwą średniowiecznego tynku kryła się przepiękna mozaika.

Niestety, radość na zamku trwała krótko, bo już kilka godzin po całkowitym odsłonięciu znaleziska, kolorowe kamyki zaczęły spadać ze ścian. Na szczęście Melania, dyrektorka zamkowego muzeum, wykazała się niezwykłą

przytomnością umysłu. Wytrzasnęła skądś długi kawałek szkła, przycisnęła nim mozaikę do ściany i trzymały obie z mamą tak długo, póki Radek z panem Leszkiem nie przyśrubowali szkła do muru. To ocaliło niezwykle zabytek. Co prawda w kilku miejscach kamyki i tak odpadły, ale przecież mogły zlecieć wszystkie. Gdyby tak się stało, cała ta historia nie miałaby dalszego ciągu, a ja nie dowiedziałabym się, kim jestem.



Otworzyłam oczy, bo coś wyrwało mnie ze snu. Przez chwilę nasłuchiwałam, ale w domu panowała całkowita cisza. Z jakiegoś powodu zaniepokoiło mnie to. Zazwyczaj mama wstaje wcześniej i krząta się w kuchni, ale dzisiaj było inaczej. Ciszy nie zakłócał nawet najmniejszy szmer. Wszyscy spali.

Potrzebowałam jeszcze chwili, by oprzytomnieć. W końcu skupiłam się na tyle, by odczytać cyfry na tarczy zegara. Było wpół do ósmej.

Zerwałam się na równe nogi.

– Do licha, mam! Przecież na pierwszej lekcji mam klasówkę!



W innej sytuacji przyłożyłabym głowę do poduszki, by jeszcze trochę pospać, ale dziś spóźnienie nie wchodziło w rachubę. Wczoraj nauczyłam się wszystkiego i nie zamierzałam tego zmarnować.

Miałam niecałe pół godziny na dotarcie do szkoły.

Drzwi do pokoju Stasia były uchylone. Zerknęłam mimowolnie. Też nie spał. Bawił się kamykami, które podwędził Radkowi.

– Ciiii! – Na mój widok położył palec na ustach, a potem przeciągnął nim po szyi, co prawdopodobnie oznaczało, że będzie ze mną krucho, jak obudzę rodziców.

Nie miałam takiego zamiaru. Wszczynanie alarmu i tak nie na wiele by mi się teraz zdało. Zaczęłaby się bieganina, zrobiłby się kocioł i wtedy na pewno bym się spóźniła.

– Dobra, dobra – machnęłam ręką i ciągle oszołomiona snem, popędziłam do łazienki.

Nienawidzę pośpiechu, bo wszystko trzeba robić naraz. Nie miałam jednak wyboru. Jedną ręką szorowałam zęby, drugą się czesałam. Przemyłam jeszcze oczy i gotowe. Ze stosu rzeczy piętrzących się na biurku wybrałam i wrzuciłam do plecaka tylko te, które na dzisiaj były niezbędne. Zajęło to minutę. Niby niewiele, ale gdy zaryzykowałam kolejne spojrzenie na zegarek, aż jęknęłam. Na śniadanie nie miałam już czasu. Sucha bułka wciśnięta do plecaka będzie musiała wystarczyć. Dwie minuty później zamy-



kałam za sobą drzwi. Guziki zapinałam już na schodach. Jak nie przytrafi mi się po drodze nic nadzwyczajnego, to zdążę.

W nocy chyba padało, bo wzdłuż ulicy unosiła się delikatna mgiełka. I chyba przez tę mgłę miasto wydawało się szare, a powietrze mniej przejrzyste niż zwykle. Zamku nie było widać w ogóle.

Biegając, usiłowałam wypatrzeć Mikę. Mika to moja najlepsza przyjaciółka. Mieszkamy dokładnie naprzeciwko siebie, tyle że po dwóch stronach ulicy. Do niedawna dzieliło nas kilkadziesiąt kroków, ale odkąd zaczęła się budowa wiaduktu, te dobre czasy minęły. Inżynierowie od dróg uznali, że do chwili zakończenia inwestycji najprościej będzie puścić ruch samochodowy wokół zamkowego wzgórza. W ten sposób nasza ulica stała się nagle fragmentem międzynarodowej trasy. Ruch trwa dzień i noc, a pędzące auta sprawiają, że przejście na drugą stronę graniczy z cudem.

Policzyliśmy kiedyś z Miką, że w ciągu minuty przejeżdża tędy jedenaście aut. Jedenaście! Zamek i domy na podzamczu zostały dosłownie odcięte od reszty miasta. Co prawda zbudowano nadziemną kładkę, ale dobry kilometr od naszych domów. I chociaż nadal mieszkamy naprzeciwko siebie, to w praktyce znalazłyśmy się po dwóch stronach świata.

Miki w szkole jeszcze nie było.



W ogóle nie było nikogo. Wokół panowała głucha cisza. Nigdy jeszcze nie widziałam tak wymarłego boiska. Idąc, słyszałam tylko chrzęst żwiru pod butami.

Podeszłam do drzwi wejściowych i poruszyłam klamką. Zamknięte.

Co jest?

Zaskoczona i, prawdę mówiąc, lekko spłoszona rozejrzałam się wokół.

– Mika! – zawołałam cicho.

Głos poniósł się daleko, a odbity od murów i krzaków wrócił zwielowrotniony: „ika, ika, ika”. W tym momencie zegar na wieży kościoła zaczął wybijać godzinę. Bezwiednie liczyłam uderzenia... trzy, cztery, pięć, sześć, siedem.

Siedem?

Jak to siedem?

Dopiero siódma?

Czyli ta szarość i pustka to nie wymysł wyobraźni, tylko efekt zbyt wczesnej pory? No nie, no nie, no nie. To nie mama zasnęła, tylko ja za wcześnie wstałam. Niech to gęś kopnie! Cała godzina snu w plecy!

Przechodząca kobieta spojrzała na mnie ze współczuciem. Kiedy odeszła, dałam nura w krzaki. W zagłębieniu muru jest wygodny kąt, który odkryliśmy z Miką jeszcze w pierwszej klasie. Włazimy tam zawsze, gdy chcemy się ukryć przed światem.

Ale i tu poczułam czyjaś obecność.

Rozejrzałam się.

Nie było nikogo. W każdym razie nikogo żywego. Jedyne brodaty maskaron wyrzeźbiony w kamieniu. Szczerzył do mnie zęby w szaleńczym uśmiechu, jakby wiedział, co mi się przytrafiło.

– No i co się tak śmiesz? – spytałam. – Bawi cię to?

Jakiś ruch liści i przesunięcie cienia sprawiły, że maskaron przytaknął. Nadał policzki, zupełnie jakby pękał ze śmiechu. Dosłownie wstrzymywał się przed parsknięciem.

– Głupek – mruknęłam pod nosem.

Oczywiście, to tylko złudzenie. Wystarczyło, że cień przesunął się dalej, a kamień odzyskał normalny wygląd, ale aż mi ciarki przeszły po plecach. Ktoś, kto wyrzeź-



bił tę twarz, musiał być nie tylko utalentowany, ale i miał spore poczucie humoru. Spojrzałam jeszcze raz i wzruszyłam ramionami. Od czasu do czasu ogarnia mnie taka paranoja i wydaje mi się wtedy, że z głębi muru patrzy na mnie żywy człowiek. Nabierałam się na to setki razy i pewnie jeszcze nieraz mi się to zdarzy.

Takich maszkaronów jest na starych murach pełno. Legenda mówi, że to drużynnicy księżnej Ody. Umieściła ich wewnątrz kamieni, by dzień i noc obserwowali mieszkańców miasta. Ody już dawno nie ma, a jej drużynnicy nadal przyglądają się życiu kolejnych pokoleń. Są dosłownie wszędzie. Ktoś policzył, że w samym centrum jest ponad trzysta kamiennych twarzy! Wyłaniają się z murów tam, gdzie się ich człowiek najmniej spodziewa. Przed ich spojrzeniami nie ma ucieczki. Doznanie narasta zwłaszcza wtedy, gdy ma się coś na sumieniu.

Uniosłam ręce.

– Nic jeszcze nie zrobiłam. Tylko za wcześnie wstałam.

Maszkaron uśmiechał się zagadkowo, jakby w zanzardzu krył dla mnie dalsze niespodzianki. No cóż, miałam przed sobą jeszcze cały dzień, a po takim poranku wszystko jest możliwe.



Mogłabym jeszcze wrócić do domu, ale po co? Mama, Radek i Staś pośmialiby się ze mnie, a za chwilę i tak musiałabym ruszać z powrotem. Tego samego dnia iść dwa razy do szkoły to lekka przesada. Mogłabym ewentualnie przeczekać tę godzinę w towarzystwie maszkarona, ale na to nie miałam najmniejszej ochoty. Po namyśle postanowiłam wykorzystać czas podarowany mi przez los, by polecieć na budowę wiaduktu.

Wyjęłam z plecaka bułkę i gryząc ją, ruszyłam przez uśpione miasto.

Nie miałam daleko.

Z Zamkowej skręciłam w Podmiejską, a dalej już mogłam maszerować środkiem ulicy, bo na czas budowy wiaduktu została wyłączona z ruchu. Gdybym chciała, mogłabym tak iść i iść, bo ulica zmienia się w drogę, a droga ciągnie się aż po horyzont. Pani od historii mówi, że kiedyś wędrowali nią Celtowie, Goci i Hunowie. Mama twierdzi, że droga istniała jeszcze przed Hunami i w jakiejś zamierzchłej przeszłości, gdzieś na samym początku świata, przybyło nią plemię, które nie pozostawiło po sobie żadnej nazwy, za to zbudowało wzgórce

i ukryło w nim skarb. Mama czerpie takie rewelacje z legend, więc wolę ich nie powtarzać na lekcjach historii, bo pani uważa, że to bujdy. Ale jeśli kogoś interesują opowieści o ukrytych skarbach, to proszę bardzo, mogę powtórzyć, chociaż nie biorę odpowiedzialności za ich prawdziwość. Otóż tamto plemię bez nazwy zbudowało sobie pośród lasów siedlisko. I to nie jakieś tam kurne chaty, ale ogromny kamienny pałac. W samym jego środku umieścili skarb. Zanim odeszli, zasypali pałac ziemią i kamieniami. W ten sposób powstało wzgórze. Stoki obsadzili lasami, by nikt się nie domyślił, że wewnątrz zostawili najcenniejszą rzecz, z którą tu przybyli, a której nie mogli albo nie chcieli zabrać w dalszą drogę. Podobno skarb tkwi wewnątrz wzgórza do tej pory. Nieliczni, którym udało się odkryć tajemnicę, osiedlali się na stokach, a potomkowie tych osiedleńców zbudowali u stóp wzgórza miasto.

Zamek na szczycie powstał dużo, dużo później. Zbudowała go księżna Oda, by po wieczne czasy stał na straży skarbu.

Prawdę mówiąc, uwielbiam takie historie.

Na placu budowy panował ruch.

Wszędzie kręcili się robotnicy w pomarańczowych kamizelkach. Koparki usuwały hałdy gruzu i sypały go na ciężarówki, a te, naładowane po brzegi, odjeżdżały w stronę zachodniego stoku.



Niezauważona przez nikogo, wspierałam się po rusztowaniu i zrobiłam to, czego robić nie wolno. Usiadłam na ochronnej barierce. Widać stąd wzgórze z zamkiem, miasto i dolinę. Chwilę potem zawisłam na ugiętych nogach głową w dół. To nic strasznego. Zupełnie jak na trzepaku, tylko trochę wyżej. Najlepsze jest otwieranie oczu. W jednej chwili wszystko się zmienia, ziemia jest u góry, a kawałek nieba pod nogami. Świat widziany z tej perspektywy mieści się między zamkiem, Starą Wsią i ulicą, przy której mieszkam. A najlepsze jest wrażenie, że w tym całym odwróconym wszechświecie tylko ja zachowuję właściwą pozycję. Jestem królową świata.

Wiem, że to niebezpieczne, i za każdym razem obiecuję sobie, że to ostatni raz i że nigdy, ale to przenigdy więcej tego nie zrobię. Ale robię. Raz pokazałam Mice i do tej pory tego żałuję. Nakrzyczała na mnie i ostrzegła, że powie o tym mojej mamie. Dlatego przychodzę tu tylko wtedy, gdy mam pewność, że nikt się za mną nie wlecze.

Tym razem miałam pecha.

Pod filarem zatrzymało się dwóch inżynierów. Na głowach mieli kaski, a na garnitury narzucone żółte odblaskowe kamizelki. Wisiałam nad nimi jak nietoperz. Z przywróceniem właściwej pozycji sobie i światu musiałam poczekać, aż sobie pójdą. Jeśli się bałam, to tylko tego, że lada moment któryś z nich spojrzy w górę i narobi niepotrzebnego rabanu. Na szczęście byli zbyt pochłonięci własnymi kłopotami.





– Dwa granitowe obeliski są już wyznaczone, musimy je tylko ściągnąć na dół – powiedział jeden do drugiego.

– Trzeba to robić powoli, żeby ich nie połamać. Mamy na to tydzień.

– Zbudujemy pochylnię. Tyle że na drodze jest kilka skał, które trzeba rozkruszyć. A one są jakies dziwnie twarde. Wiertła dosłownie ślizgają się po nich, a młoty odbijają się jak od gumy.

– W takim razie użyjemy ładunku wybuchowego.

– Problem w tym, że sondy wykazują puste przestrzenie wewnątrz wzgórza. Może to jakies groty wymyte przez wodę, w każdym razie nie wiadomo, jak rozejdą się drgania po wybuchu. Istnieje niebezpieczeństwo wtórnego zawału. Mogą ucierpieć te starocie na wzgórzu, może nawet sam zamek.

– Wiem, ale nie mamy czasu na zabawę. Harmonogram nas goni. Musimy zaryzykować. Większe skały wysadzimy jutro po południu, powiedzmy o osiemnastej. Miejmy nadzieję, że nie stanie się nic nieprzewidzianego.

Uff. Wreszcie odeszli.

Był już najwyższy czas, bo nogi zaczęły mi drętwieć. Gdy tak zawisnę, mogę wisieć nieskończenie długo, ale bez przesady. No i najwyższy czas lecieć do szkoły, bo naprawdę spóźnię się na klasówkę.

Postanowiłam, że o podsłuchanej rozmowie opowiem dzisiaj w domu. Muszę tylko wymyślić, gdzie byłam, że mnie nie zauważyli. Do zwisu głową w dół nie przyznam się za skarby świata. Dopiero bym oberwała.